SOWIZDRZAŁ- Anna Kokot-Nowak

Laboratorium wegetacji

Spoczęła na mnie ręka Pana, i wyprowadził mnie On w duchu na zewnątrz, i postawił mnie pośród doliny. Była ona pełna kości. I polecił mi, abym przeszedł dokoła nich, i oto było ich na obszarze doliny bardzo wiele. Były one zupełnie wyschłe.

Księga proroka Ezechiela

Na sali Oddziału Intensywnej Terapii miejskiego szpitala panuje przejmująca cisza. Nawet gdyby ktoś próbował krzyczeć, może to czynić tylko do wewnątrz siebie. Inne rodzaje ekspresji nie są w tym miejscu przewidziane. Tu jest przewidziane tylko szybsze lub wolniejsze osuwanie się w nicość. To oddział braku nadziei, oddział olbrzymiego deficytu nadziei. Tu w zasadzie nadzieja nie jest nawet towarem reglamentowanym. Na tym piętrze nadzieja nie jest nawet przechowywana w tym zakurzonym nieco magazynie w pokoju numer 13. Nie znajdziesz jej w starych probówkach - czy pożółkłych bandażach, nie ma jej także zaschniętej na dnie fiolek z przyciemnianego szkła, tych po lekarstwach. Tu nadziei z pewnością nie nosi w kieszeniach fartucha lekarskiego ordynator – widmo, którego znasz tylko jako beznamiętny głos z telefonu. Nadziei na pewno nie rozsmarowuje wraz z moczem na podłodze spocona salowa, od dwunastu godzin na nogach obutych w gumowe klapki, śmierdzące uryną i fekaliami, które to zapachy nieudolnie maskuje środek odkażający.

Gdy jesteś tu po raz pierwszy, wydaje ci się, że oprócz pracowników szpitala, w ogóle nie ma tam pacjentów. Dostrzegasz tylko śnieżnobiałe łóżka, równiutko w kancik prześcielone, a spod tych kołderek, prześcieradełek i podkładów - wychodzą sztuczne krwiobiegi żywota ludzkiego: różnokolorowe kable, przewody, łączą się w arterie i porty człowieczego bytowania, uwiązanego często na nitkach. Ich gęsta sieć tworzy jakby podziemne królestwo, plątaninę barw, swoisty Hades, który choć należy do świata umarłych, pozwala jednakże niektórym rachitycznie żyć, kapać energii po kropelce do żyły mizernej egzystencji. Przypatrz się uważniej, przyzwyczajaj oczy do bólu. Bo ból jest tu wszędzie, choć przecież go nie słuchać, medycy czuwają, by zagłuszyć każdy najcichszy jęk. Niczym zręczni prestidigitatorzy - wyciągają z szafek i magazynów oddziału kolejne dawki leków sedatywnych i przeciwbólowych, które niosą zapomnienie. Im samym na ból duszy, jeśli któryś jeszcze swojej nie zgubił, muszą wystarczyć sprośne żarty na zapleczu oddziału lub kieliszek koniaku przed zaśnięciem. Oba sposoby zresztą równie nieskuteczne. Przypatrz się,

jak im się trzęsą dłonie, jak oczka biegają szaleńczo, jak szybko oddychają… Jeszcze wielu nie dotarło do kresu poznania swoich możliwości braku snu. Na śmierć już się uodpornili, a przynajmniej sobie tak wmawiają. Poklepują się z nią przyjaźnie po plecach w kuluarach tego laboratorium konania i przybijają z nią piątki. Taka to dla nich zabawna nieco babulina, z chustą białą na głowie i kosą w trupiej dłoni. W sumie przecież niegroźna dla nich. Niegroźna przynajmniej do momentu, gdy to oni są bożkami tego oddziału, a ona ich najwierniejszą pracownicą. W zasadzie to chyba powinna dostać podwyżkę, bo na emeryturę się nie wybiera.

Szukasz ludzi? Tu zobaczysz tylko wyschłe kości. Niewiele już na nich skóry, jeszcze mniej woli życia. Tu mężczyzna i kobieta, dziecko i starzec – wszyscy szybko robią się do siebie zastanawiająco podobni. Po kilku dniach leżenia nie dostrzegasz już jaka to płeć, kolor włosów, kolor skóry. Wszyscy zamieniają się w kości zawinięte w kokony pieluch. Nie mają na sobie piżam, kobiety – biustonoszy, na żadnej nodze nie powiewa ani jedna chorągiew skarpetki. Tu nawet ciało przestaje być osobistą własnością każdego człowieka – staje się własnością lekarzy, ordynatora, szpitala. Zbyt długie włosy są obcinane, modne zarosty – skoszone, paznokcie zwykle nieco krzywo przycięte. Tupeciki zostają zdarte z czaszek, sztuczne warkocze odczepione, tipsy oderwane. Człowiek zostaje odarty ze wszystkich zasłon, którymi otoczył się w toku życia. Nawet osobowość zanika, zalana koktajlem leków uspokajających.

Tu nawet nie lubi wbiegać pędzący czas, bo z miejsca zostaje zatrzymamy – godziny rozciągają się jak miesiące, minuty jak tygodnie, sekundy jak dni. Czas więc gumowacieje, wykrzywia się, pręży, staje dęba. Upychany w klepsydrę – niezdarnie wyskakuje, wtłaczany do wnętrza zegarów – wypływa, wepchnięty do wnętrza probówek – syczy złowieszczo: „I tak uciekam!”.

Nie wiem jak długo tu leżę. Słyszę nad sobą głosy, mówią obok mnie i nade mną. Wciąż powraca słowo „śpiączka”, odmieniane przez wszystkie rodzaje i przypadki. Dziwne, ja wcale się nie czuję tak, jakbym spał. Utknąłem po drugiej stronie lustra rzeczywistości w sferze nierzeczywistej, a jednak strasznej. Nie widzę z niej wyjścia, w ogóle niewiele widzę. Wszystko jest takie onirycznie zamglone, jakby ze starego obrazu znalezionego na strychu.

Pielęgniarka jak zjawa lewituje nade mną, gdy ja tymczasem leżę na marach. Chyba się uśmiecha, nie widzę przez tą jej maseczkę. Przygląda mi się przez chwilę, po czym siada obok na krześle o trzech krzywych nogach, a czwartej tak krótkiej, jakby podpiłowanej i wyciąga z zanadrza plik wydrukowanych kartek. Mości sobie jeszcze przez chwilę tyłek na dziwacznym skosie krzesła i zaczyna czytać głośno zadziwiająco dźwięcznym głosem:

Z notatnika ostatniego pandemika, część I

Pandemia koronawirusa zamknęła ludzi w domowym areszcie, jak wzorcowy strażnik więzienny. Ot, choćby ten z raciborskiego Zakładu Karnego, wiecie – usytuowanego w tym neogotyckim budynku, funkcjonującym od 1851 roku. Słowem – koronawirus jest jak więzienny klawisz – spaceruje miarowym krokiem korytarzami miast i wsi, z rękoma założonymi z tyłu niewidzialnego cielska, dzwoniąc do rytmu gigantycznymi, wysłużonymi kluczami do poszczególnych cel. Tu łypnie okiem, tam łypnie okiem, rzuci może jakiś wredny komentarz, zachichocze przy tym nieco nadnaturalnie, oblizując zachłannie wargi, po czym wzruszy ramionami i powędruje dalej. Jak ktoś ma pecha – to jeszcze zajrzy judaszem do wnętrza jego zamkniętego rewiru egzystencji i postraszy chorobą. Buuuu! Trzeba się bać!

Ale bystre oko, które zaobserwuje maszerującego klawisza, szybko wychwyci w nim jakieś przerysowanie osobowości, dziwaczną groteskę. Pomyślmy chwilkę … co to może być? Może pękaty jest jak beczka i śmiesznie podryguje przy poruszaniu się wałeczkami tłuszczu? Nie, chyba nie o to chodzi… A może zbyt chudy i przy chodzeniu chwieje się jak trzcina na wietrze? Nie, to też nie ten trop… Ale, uwaga! Już chyba wiadomo… Klawisz – pandemik wygląda tak, jakby urwał się z cyrku albo średniowiecznego gabinetu osobliwości, ciąganego w klatkach po wszystkich targach świata. Bo oto… Naprawdę uważnie mu się przypatrzmy – na głowie ma… No, nie wierzę! Koronę! I to wcale nie szczerozłotą, to widać na pierwszy rzut oka, ale tandetnie wykonaną, jakby plastikową, wykradzioną z jakiegoś sklepu z chińskimi zabawkami rozsypującej się jakości. Kto w naszych czasach na co dzień nosi koronę (no chyba, że jest królem)? Normalnie w koronie wygląda chyba tylko Królowa Brytyjska Elżbieta, bo ją w mass mediach oglądamy w tym ustrojstwie najczęściej, ale zwykły śmiertelnik przedstawia się w tym dość specyficznym nakryciu głowy co najmniej pokracznie. I niewygodne to jakieś, chyba kłujące… Nie lepiej ozdobić szczyt mózgu beretem z antenką (choćby nawet moherowym, przynajmniej milusi) lub czapką z daszkiem (no, dobrze – ten daszek to taki materiałowy, a nie że od razu trzeba na tym dachu stawiać komin i rozpalać drwa w piecu). Jednak bez względu na to, co o tym wszystkim myślimy, trendy tegorocznej mody roku 2020 zostały już ustalone: teraz wirus nosi koronę i basta! Czy się komuś to podoba czy też nie, on korony nie zdejmie! Nie byłby bowiem wówczas już tytułowany przez uczonych wirusologów Jaśnie Oświeconym i Wielomiesięcznie Nam Panującym Koronawirusem Zjadliwym. Chodzi więc nieustępliwie po świecie w koronie, wymachując nią buńczucznie. Niech no ktoś tylko spróbuje mu podskoczyć! Zaraz rzuci się wściekle do jego płuc i wywoła burzę cytokinową, a wówczas masz już bracie w zasadzie

pozamiatane! Nawet nie zdążysz mrugnąć okiem, a tu zatrzaśnie się nad tobą wieczko od trumny. Zresztą – co ja mówię, jakiej trumny?! Ze względów epidemiologicznych pochowają cię w postaci popiołu, takiego po kremacji zwłok. Nie pozostanie po tobie nawet sprzączka od paska, wskazówka od zegarka - czy medalik po pierwszej komunii świętej. A i w urnie nie zajmiesz zbyt wiele miejsca, szybko uznasz, że nikt nie powie o tobie, że byłeś człowiekiem wielkiego formatu. Może osiądziesz tylko na dnie urny, parę szarych paproszków, jakby ktoś nasypał do wnętrza naczynia ostateczności nieco pieprzu.

Zatrzaśnięci przez surowego klawisza – koronawirusa w czterech ścianach swoich raciborskich domów, w ogóle więcej myślimy o śmierci, odchodzeniu, agonii. Zresztą mass media zachowują się tak, jakby stały się tubą propagandową COVID-19: tylko o nim piszą, mówią, z nim dyskutują i spierają się cichutkimi głosikami. Wydaje się nawet, że media nadają nie tyle wiadomości, ile przeobraziły się w kanał propagandowy jakiejś firmy pogrzebowej. Ich ulubionym obrazkiem, pokazywanym w paśmie najwyższej oglądalności nie są bowiem przepychanki polityków czy kronika wypadków drogowych, ale morze zbiorowych mogił, pojawiające się w miejscach, w których dotąd żadnych mórz nie było. Rozszerzonymi ze strachu oczyma oglądamy nowo powstałe Morze Trumienne w Lombardii, Morze Trumieniste w Hiszpanii czy – Achtung!, Achtung! – Morze „Der Sarg" – w Niemczech. W internecie nie brakuje nagrań, które ukazują kopanie masowych grobów w Brazylii czy Nowym Jorku. Toż to telewizyjny Armagedon! Miliony ludzi zaczyna swój poranek nie tyle pobudzającą filiżanką kawy czy aromatycznym kubkiem herbaty, ile sprawdzeniem liczb: ile w ciągu ostatniej doby wykryto nowych przypadków zakażania koronawirusem, ile osób zmarło. W zasadzie nikogo nie interesuje, ile osób wyzdrowiało, bo to przecież ich osobiste zwycięstwo, które winni świętować bez głośnych fajerwerków i szalonego podrygiwania w tańcu mistrza przeżycia. Świat znów zgodnie zaczął wierzyć w gusła i numerologię: to liczba nowych przypadków zakażonych określa, czy będziemy mieli dobry dzień czy nieudany. Jeśli jest niewielka – wtedy od razu oddychamy z ulgą, pęcherzyki w płucach wyskakują nam w górę z radości. Wentylujemy nasze zdrowe od koronawirusa płuca z energią, używając mięśni międzyżebrowych i przepony, które to kurczą się raźno, tworząc w naszych zrelaksowanych płucach podciśnienie. To dzięki niemu zasysamy powietrze – wolni od niszczycielskiego działania COVID-19.

Z nosem rozpłaszczonym na zimnej szybie dziesiątego piętra osiedla przy ulicy Słowackiego, określanego siedem lat temu w jednym z gazetowych plebiscytów mianem Najlepszego Osiedla Raciborza, przyglądam się światu czasów pandemii. W marcu, kwietniu i maju osiedle zamarło, nawet bezustanny szum aut jakby wyciszył się, szelest ludzkich

kroków (stukanie obcasów, wibracje glanów, człapanie klapek) - był nie do wychwycenia dla ludzkich uszu. Widziana przez szybę okolica była niby znajoma, a jakoby obca – swojska a jakby nieznana. A wszystko to przez nieobecność organizmów żywych w postaci ludzi. Zresztą czy ulica bez ludzi jest tą samą ulicą, czy tylko asfaltową wstążką, prowadzącą z punktu A do punktu B? Czy pusta alejka parkowa to nadal ta sama alejka - czy tylko smutna ścieżka donikąd? Czy świat bez ludzi to nadal ten sam świat? A może to już inna galaktyka, przejęta przez koronakosmitów, mieszkańców planety COVID-19?

Rozpłaszczam nos na szybie coraz bardziej, jakbym chciała nim wyniuchać podstępne manewry wrogiego ludzkości koronawojska. Oręż już przygotowana – obok mnie, tuż na parapecie – położyłam świeżo zakupioną przez internet maseczkę i gumowe rękawiczki z jakimś talkiem wewnątrz. Gdyby to nie wystarczyło – mam jeszcze w zanadrzu przyłbicę i jednorazowy kostium ochronny. W ostateczności - mogę chwycić parasolkę i okładać nią koronawirusa po tej jego plastikowej koronie ile wlezie: „A masz! Za Racibórz, za Polskę, za świat!”. Niech pozna co to waleczna, raciborska kobieta! Kiedyś krzyczano by – „Kobiety na traktory!”, teraz zaś lepiej krzyczeć: „Kobiety na wirusy!”. I pomaszerują odważne baby z mopami, miotłami czy szmatami, by zaatakować niewidzialnego wroga ludzkości. Będą walczyły o swoje dzieci, rodziny, przyszłość!

Pielęgniarka milknie, przerywa czytanie. „No, na dzisiaj koniec, gardło mi już wysiada!” – oznajmia jak na mój gust ciut za głośno i wybiega z sali. Krzesło – jeszcze ciepłe od jej ciała, jeszcze czujące na sobie jej ciężar, zaskoczone nagłym brakiem - przewraca się na ziemię z głośnym trzaskiem.

„Synu człowieczy, czy kości te powrócą znowu do życia?”. Odpowiedziałem: „Panie Boże, Ty to wiesz”. Wtedy rzekł On do mnie: „Prorokuj nad tymi kośćmi i mów do nich: «Wyschłe kości, słuchajcie słowa Pana: Tak mówi Pan Bóg: Oto Ja wam daję ducha po to, abyście się stały żywe. Chcę was otoczyć ścięgnami i sprawić, byście obrosły ciałem, i przybrać was w skórę, i dać wam ducha po to, abyście ożyły i poznały, że Ja jestem Panem»”.

Księga proroka Ezechiela

Obolały czas jednak posuwa się naprzód, nanosekunda za nanosekundą… Chociaż tego nie czuję, to smętne pozostałości rozumu każą mi się tego domyślać. Z każdym dniem czuję się tutaj coraz bardziej jak maszyna, wręcz robocieję. Oddycha za mnie respirator, ustawiony na dwanaście oddechów, sika za mnie cewnik, odżywia mnie kabel. Fragmenty

przewodów, jak gorąca lawa, wydają się płynąć nawet w moich cienkich żyłach. Przypływam ku nierzeczywistości i odpływam, jestem tu i teraz, a po chwili już mnie nie ma, nawet szatan za mną nie nadąża i nie potrafi mnie kusić skutecznie do złego. Zresztą nawet soczyste przekleństwa, które znałem w młodości, nie są w stanie wykluć się na koniuszku mojego wysuszonego języka. Nie do końca potrafię go zlokalizować… Kiedyś wysuwał się złowieszczo z ust, teraz w zasadzie może być wszędzie: na mnie i pode mną, wić się wokół moich kolan lub tańczyć przy szpitalnym katafalku boleści niczym zahipnotyzowany wąż.

Wtem coś mnie ochlapuje kroplami gorącej śliny. Widzę, że to gigantyczny jęzor wsuwa się do szpitalnej sali, a dosiada go jędrne, nagie ciało pielęgniarki, ubranej tylko w maseczkę. Nie mogę jednak zaręczyć, że moja wizja jest prawdziwa, może to tylko jakiś szałowy koktajl z barbituranów? Pielęgniarka wdzięcznym ruchem zeskakuje z języka jak amazonka z rumaka, siada na znanym już, powykrzywianym krześle i znów czyta dźwięcznym głosem:

Z notatnika ostatniego pandemika, część II

Pustka widziana za oknem przenika pustką do mojego serca, czuję w nim chłód, jakby ktoś wbił we mnie ostry kawałek lodu. Drżę na całym ciele, dygoczę, szczękają zęby. Samotność świata, Raciborza – osadza się pustką we mnie i pochłania mnie całkowicie. I tak sobie oto koegzystujemy – ja w pustce i pustka we mnie. Dopełniamy się, uzupełniamy, kłócimy i bratamy. Dwie pusto/pełne bańki pytań, doznań i wątpliwości. Coraz głębiej ześlizguję się w osobność, otoczenie wokół rozpływa się pastelowej mgle, mętnieje, ulatnia. Kształty zacierają się, tracą na znaczeniu. Oto ważna jestem tylko ja i to NIC wokół mnie. Pochłaniam je, pożeram, kąsam aż do soczystego miąższu - gryzę mocno, aż czuję ciepłe soki, ściekające mi po palcach. Zatracam się w sobiebyciu, sobieistnieniu, kontemplacji. Realizm już nie ma do mnie dostępu, koronawirusową pustką utorowałam sobie drogę do transcendencji. Nawet cisza nie dzwoni mi w uszach, bo nie ma wokół mnie nawet ciszy, rozpłynęła się jak obłok, przeniknęła ściany mieszkania. Uszu też już nie mam – wydawało mi się nawet, że oderwały się bezboleśnie od mojej głowy i wyfrunęły za okno. Nieważne, że zamknięte… W tej idealnej pustce nie brakuje mi nikogo ani niczego, nawet samej siebie. A może powinnam powiedzieć, że przede wszystkim siebie mi nie brakuje. Pustka jest wciąż przy mnie, we mnie - jak najwierniejszy przyjaciel, choć jednocześnie w ogóle jej przecież nie ma. Ta sprzeczność mnie nie niepokoi, nie mąci mojego umysłu milionami

niepotrzebnych pytań i wątpliwości. Pustką się modlę, pustką oddycham, pustką myślę. Wydaje mi się wręcz, że już rozumiem genezę świata:

Na początku była Pustka,
a Pustka była w świecie
i światem była Pustka.
Ona była na początku w świecie.
Wszystko przez nią się stało,
a bez niej nic się nie stało,
co się stało.
W niej było życie…

Tak, życie w pustce jest możliwe, istnieje… Sama tego doświadczam od kilku miesięcy pandemii. Niezależnie od pandemii doświadczają tego wdowy i wdowcy, sieroty biologiczne czy matki, które straciły swoje dzieci. Czasami trzeba żyć, mimo iż żyć nie ma po co. Trzeba codziennie po przebudzeniu wciskać w siebie śniadanie, które wydaje się bez smaku, jak z papieru. Czasami trzeba zmuszać ciało do powstania z łóżka i jakiegokolwiek działania, choć ono przylepia się do materaca, próbuje wejść pomiędzy poszewkę a kołdrę. Czasami w końcu trzeba zaczerpnąć powietrza, choć ci, których tak kochamy – jako martwi powietrza już nie potrzebują. Czasami wyglądamy nawet jak ciało żywe, choć wewnątrz jesteśmy martwi, gnijący, trawieni przez robactwo, wypełnieni zbutwiałymi kawałkami jestestwa. Pozorujemy życie w bezkresach Wielkiej Pustki. Marzymy o śmierci, ale nawet ona nic dla nas nie zmienia, bo z jednej pustki wchodzimy tylko w drugą pustkę, może nawet jeszcze większą i straszniejszą, bo sięgającą krańców galaktyki. Bywa, że próbujemy jeszcze w jakimś ostatnim podrygu nadziei odszukać w sobie pokładów dziecięcej, szczerej wiary, ale gdy chcemy uchwycić w palce naszą pierwszokomunijną książeczkę do nabożeństwa, zostają nam w dłoniach tylko zetlałe, pożółkłe kartki i oddech kurzu. Zaciskamy mocno ręce, starając się wycisnąć z tych strzępów czerwoną jak krew kroplę wiary, nadziei i miłości, ale żaden ślad krwi nawet się nie pojawia. Zostaje tylko pustka, która wsysa nas w siebie, pochłania i trawi, aż się jej beknie z przejedzenia. Bo ona potrafi być przejedzona i pełna – choć pusta, pusta, pusta!

Nos rozpłaszczony na szybie dopomina się o porcję tlenu, gwałtownie wychodzę więc z pustki „filozofii przyszybowej" - do domowej pustki pandemicznej. Bryluje w tej pustce rodzina, ale nie wypełnia jej całkowicie – brakuje znajomych, przyjaciół, sąsiadów,

ludzi mijanych na ulicy, brakuje krzywego uśmiechu przypadkowego przechodnia i jazgotliwego ujadania psa za płotem, brakuje wesołych okrzyków dziecka z placu zabaw i gderania staruszka, którego denerwuje młodzieńcza energia przejeżdżającego rowerzysty. Ile cudzych żyć musimy w sobie pomieścić, by poczuć, że w ogóle żyjemy? Czy da się funkcjonować tylko w eremie własnego mózgu, jeśli nigdy nie miało się natury pustelnika? Czy człowiek może się skurczyć tylko do własnego ja – bez przeglądania się w innych ludziach, jak w lustrze społecznym?

Otrząsam się z natrętnych myśli jak mokry pies z kropel wody. Strzepuję z siebie wilgoć myślenia, krople dumania i kontemplowania. Ale one wciąż do mnie wracają, osadzając się ciasno pod kopułą czaszki. Nagle czuję wielki głód wiary, Opatrzności. Panie, gdzie się przede mną ukryłeś?

Słowa nagle zatrzymują się w powietrzu, wyrazy zawieszają się na niewidzialnych pajęczynach przestrzeni. Pielęgniarka przerywa czytanie. „No, na dziś starczy! Bardzo jestem zmęczona po tym dyżurze!”. I znika, a do transportu swojego ciała najwyraźniej nie potrzebuje już siły rumaka – języka.

I prorokowałem, jak mi było polecone, a gdym prorokował, oto powstał szum i trzask i kości jedna po drugiej zbliżały się do siebie. I patrzyłem, a oto powróciły ścięgna i wyrosło ciało, a skóra na nie się naciągnęła, ale jeszcze nie było w nich ducha.

Księga proroka Ezechiela

Boleści! Czuję wielkie cierpienie… Zaplątany w siebie, tracę jestestwo i świat. „Ha, ha!” – chciałbym teraz śmiać się z samego siebie, gdy twierdziłem, że na Oddziale Intensywnej Terapii ból jest utylizowany jak niepotrzebny śmieć. Choć spychany na dno (nie)świadomości – wciąż ze mną jest. Przejawia się jako darcie, palenie, pieczenie, rwanie, szczypanie, ucisk. Gehenna, golgota, katorga, krzyż, męczarnia, męka pańska, płacz i zgrzytanie zębów, mordęga, tortury, udręka, bieda, boleść duszy, czarna melancholia, gorycz, przygnębienie, uciemiężenie, zadręczenie, zgorzkniałość. To brzemię, które nie pozwala mojej duszy odlecieć ku niebiańskim spokojom.

Od rana na sali wielkie poruszenie w tym bezruchu półmartwych ciał. Dwa kokony boleści pękły z suchym trzaskiem i zamiast motyla w technikolorze, wypuściły na zewnątrz martwą larwę. Kostucha sobie dziś pouzywała! Ale tańcowała z tą swoją świeżo naostrzoną kosą, ale hasała! Aż się jej parciana sukienczyna zadziornie zawinęła i pokazała kościste uda.

Dwa ciała płci (wyłącznie jednorodnej), wślizgnęły się w zimne, nieco tajemnicze objęcia wieczności. Nikt po nich nie zapłakał, nawet ich aniołowie stróże. Chyba nawet głośno, z wyraźną ulgą odetchnęli, że mogą w końcu opuścić ten martwy padół pełen sztucznie podtrzymywanych przy życiu, okablowanych ludzkich zwłok. To było stanowczo zbyt wiele jak na ich anielskie dusze. Nawet skrzydła im wyłysiały, pomizerniały. Oj, długo będą musieli nacierać je błyszczącą pomadą tam w niebiosach!

Mnie zaś dziś odwiedził profesorek i po seriach nakłuwań mojego ciała, stukania w nie i pukania, zaglądania w każdy możliwy otwór i skrobania po mnie paznokciami, tak oto orzekł: „On żyć będzie!". I spojrzał jeszcze na mnie takim wzrokiem, że nie wiedziałem czy radość mi przepowiada – czy raczej nieszczęście. Bo żyć tu i tak, nigdy nie planowałem. Życia tu nawet sobie nie wyobrażam, bo to życia w żadnym kształcie nie przypomina. Nie jest to nawet studium ludzkiej wegetacji! I tak oto mam pozostać zatrzaśnięty pomiędzy dwoma światami, snu i jawy? Mam co dzień uświadamiać sobie wciąż od nowa i od nowa, że niestety jeszcze lekarz nie wypisał mi karty zgonu? Może zresztą już nawet zaczynał ją wypisywać, zanotował na niej moje imię i nazwisko, datę urodzenia, złożył podpis. Brakuje jeszcze tylko przyczyny zgonu i jego daty, ale to można szybciutko uzupełnić przecież…

JA CHCĘ WRÓCIĆ DO MOJEGO POPRZEDNIEGO ŻYCIA! LUUUUUUUDZIE! Wiem, nikt mnie nie słyszy, moje struny głosowe generują tylko ciszę. Nie chcę półżyć i półbyć, pragnę być całością! Czy ktoś tu przypadkiem nie bawi się ze mną w uporczywą terapię?

Pielęgniarka wchodzi wolnym krokiem na salę, siada na krzywym krześle i nie przewraca się, dowodząc tym samym, że mogłaby zostać – gdyby tylko chciała, królową równowagi, mistrzynią balansu. Głośno wzdycha, patrzy mi przenikliwie w oczy i nagle jednym ruchem ściąga z twarzy maseczkę. W oczach błyska mi piorun poznania i… gaśnie. Potem próbuje jeszcze raz błysnąć… Klapa! Ale coś się ze mną dzieje, jakiś mechanizm poznania rusza powoli, rachitycznie. Ten nos, te usta? Czy ja się z nią przypadkiem nie całowałem? Ale jak, kiedy – przecież tutaj na sali Oddziału Intensywnej Terapii leżę od paru tygodni w śpiączce…

„Nie poznajesz mnie, naprawdę? – pyta i nagle z przerażeniem uświadamiam sobie, że ma gruby, niski głos. Jakoś mi znajomy… Stąd ja go jednak pamiętam? – To może ten smak odświeży ci zakurzone komórki mózgowe…" - uśmiecha się rubasznie i wtem widzę, że chyba ma pod nosem kilkudniowy zarost. Jak mogłem tego wcześniej nie zauważyć?! A wydawała mi się taka ładna, kobieca!

Dostrzegam, że wkłada palec wskazujący pod pachę, pociera nim trochę i wyjmuje spod fartucha z dziwnym triumfem. A potem podkłada mi go pod nos. Zaciągam się zapachem, który z wolna otwiera przede mną świadomość. Jeszcze trochę atomów zapachu i nozdrza poruszają się coraz bardziej niespokojnie. Czuję, że coś ustępuje w moim mózgu pod naciskiem wspomnień. Drzwiczki, które mnie od tego odgradzają – zaraz nie wytrzymają naporu obrazów, myśli, dotyków, jęków.

Nim jednak zdążę chwycić za klamkę trzeszczących drzwi, kobieta szybkim ruchem wsuwa mi palec do ust. Chcę zaprotestować, że to nieapetyczne, nieco wulgarne, przecież nie jesteśmy jeszcze na takim etapie znajomości, ale oto palec nie jest już pielęgniarki, ale pielęgniarza. To jeszcze gorsza perwersja! Nie godzę się na nią! Czuję jak powieki zaczynają mi szybko drgać, a źrenice pod nimi zanurzają się w płynie gniewu. Zaraz nie wytrzymam!

I światło mnie zabiło…

Tak mówi Pan Bóg: «Oto otwieram wasze groby i wydobywam was z grobów, ludu mój (…) i poznacie, że Ja jestem Panem, gdy wasze groby otworzę i z grobów was wydobędę, ludu mój. Udzielę wam mego ducha po to, byście ożyli, i powiodę was do kraju waszego, i poznacie, że Ja, Pan, to powiedziałem i wykonam», mówi Pan Bóg.

Księga proroka Ezechiela

Nie, nie zabiło… Tylko oślepiło, oszołomiło, przytłoczyło niezwykłym blaskiem. W końcu się przebudziłam ze śpiączki. Spojrzałam na pielęgniarkę i wcale się nie zdziwiłam, że to mężczyzna. Pielęgniarz. Tak naprawdę zawsze to wiedziałam, w końcu to mój mąż.

Z notatnika ostatniego pandemika, część III

Mówicie, że w czasie pandemii koronawirusa nie można zapaść w śpiączkę po operacji usunięcia torbieli jajnika? Otóż można, jam tego przykładem. Można parę tygodni miotać się po bezkresie życia – nie – życia, dryfować w nicości, zderzając się ze ścianą niemocy? I to można – jam znów przykładem. Można nawet nie wiedzieć, jakiej się jest płci i myśleć o sobie w formie męskiej. To także można, któż mi zabronił? Można także nie poznawać męża, który pracuje od lat w tym szpitalu jako pielęgniarz. I to nie jest dziwne, przeżyłam to. Można również nie poznawać pisanych przez siebie w czasie zarazy tekstów na dziennikarskiego bloga, „Z notatnika ostatniego pandemika”. I można także nie pamiętać, że jednak zawsze warto żyć nadzieją na… (wstaw SWOJE właściwe słowo).